

ELA OLESKA

JUŻ IDE...

PIĘĆ OBRAZÓW
Z ŻYCIA BOHATERA MIŁOŚCI

KRAKÓW
KSIĘGARNIA KRAKOWSKA



37016

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.

DRUKARNIA KRAKOWSKICH ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH I WYDAWNICZYCH
KRAKÓW, UL. ŚW. KRZYŻA 11.

Aki. 2003-D-34/8

OBRAZ PIERWSZY.

ARTYŚCI.

OSOBY: Adam Chmielowski — Malarz Pierwszy — Malarz
Drugi — Malarz Trzeci — Malarz Czwarty.

Rzecz dzieje się około r. 1868 w Monachium, w czasie studiów malarskich Adama Chmielowskiego.

Scena przedstawia jak najskromniej urządzoną pracownię malarską Adama Chmielowskiego.

Po podniesieniu zasłony na scenę wchodzi czterej młodzi malarze polscy, koledzy Adama.

MALARZ PIERWSZY: A to się Adam zdziwi, gdy tak całą bandę zastanie w swoim mieszkaniu!

MALARZ DRUGI: Niech nie zostawia w zamku klucza dla włóczęgów.

MALARZ PIERWSZY: Dobrze, że w Monachium nie ma złodziei.

MALARZ TRZECI: Ach, on sam by włóczęgę do siebie sprowadził. Bardzo ma miękkie serce.

MALARZ CZWARTY: On wogóle jakiś całkiem inny, niż my wszyscy. Ja — kiedy na niego patrzę, to — słowo daję, nie wiem właściwie, co myśleć. Bo przecież — sami to chyba przyznacie — że malarz z niego znakomity.

MALARZ DRUGI: Ależ to już prawdziwy mistrz, niegorszy od tych, którzy w tej szkole uczą.

MALARZ CZWARTY: Przecież to, jak Boga kocham, pycha by mogła człowieka rozsadzić. A on... jak gdyby nie,

jakby wcale tego nie czuł, nie widział. Skromny, ci-chutki, za nic ma sobie wszystkie, choćby najwyższe pochwały i zaszczyty.

MALARZ PIERWSZY: Sam król Bawarów go wyróżnia z po-między wszystkich, łązi do jego pracowni, zaprasza go do siebie... Przecież drugi umiałby to zaraz doskonale wykorzystać.

MALARZ TRZECI: A wiecie, że ja się trochę o Adama boję. W nim coś siedzi, co mu jeszcze kiedyś zmarnuje ten talent bajeczny i zwiechnie całą karierę artystyczną.

MALARZ DRUGI: Ee, co tam za bajdy pleciesz! Kto tak prędko jedzie w górę, ten się już strącić nie da.

MALARZ TRZECI: A ja ci mówię, że on sam siebie gotów strącić z samego szczytu, jeżeli mu to zrobić nakaze coś, co on odczuje w sobie samym.

MALARZ CZWARTY: Na razie to Adam czuje tylko to, że ma malować. Przecież on ani jednej chwili nie próżnuje.

MALARZ PIERWSZY: To prawda. My wszyscy wobec niego tośmy lenie, jakich świat nie widział.

MALARZ TRZECI: A żebyś się ugryził w język! Przecież nagniotki już mam na palcach z pędzla i palety, a tobie jeszcze mało!

MALARZ PIERWSZY: Cicho! ktoś idzie po schodach, pewnie Adam wraca.

MALARZ DRUGI: Mogliśmy urządzić jaką hecę, ale już za późno.

MALARZ TRZECI: Dajno sobie spokój, kto wie w jakim on wraca nastroju.

MALARZ DRUGI: No, właśnie trzebaby go odstroić.

ADAM (*wchodzi, mając u jednej nogi protezę*): A którądy-żeście się tu dostali, koledzy?

MALARZ DRUGI: Przecież zostawiłeś nam drzwi otworem.

ADAM: Nic o tym nie wiem.

MALARZ TRZECI: No-no, ale się kiedyś dowiesz, gdy ci mieszkanie oczyszczą złodziejaszki bawarskie do cna.

ADAM: Cóżby oni tu mieli do szukania, pieniędzy u mnie nie znajda.

MALARZ CZWARTY: Wiadomo, nasza artystyczna, malarska golizna...

ADAM: Dobrze mi z nią zupełnie. Czuję się wolny i swo-bodny. A do wnętrza nikt mi się nie dostanie.

MALARZ PIERWSZY: A możebyś się tak przyznał przed kolegami, co tam w tym wnętrzu swoim kryjesz, co?

ADAM: Sam jeszcze nie mogę się w tym wszystkim rozeznac należycie. Ot, dusza czegoś pragnie i czegoś ciągle szuka napróżno... Na razie chciałbym namalować coś takiego, coby...

MALARZ DRUGI: Czemu nie kończysz?

ADAM: Wiecie... straszliwa się tu biedota kryje w Mona-chium... w tym mieście, co jest poprostu jednym prze-ogromnym skarbcem skarbów bezcennych... Gdyby choć milionową częśćkę mieć tego bogactwa, możnaby wszystką nędzę poratować...

MALARZ PIERWSZY: Słuchajno Adam! Ty musisz sobie raz powiedzieć stanowczo: albo jestem malarzem i myślę tylko o Sztuce, albo... zajmuję się łachmaniarzami i ich dziećmi.

MALARZ TRZECI: Jużes Ojczyźnie darował jedną nogę, oddaj teraz Sztuce polskiej obie ręce.

ADAM: To nie samej Sztuce, to tylko pośrednio przez nią — Bogu.

MALARZ DRUGI: Panu Bogu — przypuszczam — Sztuki nie potrzeba, skoro sam sobie stworzyć mógł cały świat.

ADAM: Według mnie, wszystko, czymkolwiek Bóg obdarował człowieka, winno Mu śpiewać hymn chwały lub podzięk. Nic nie istnieje tylko dla siebie, wszystko w Nim ma swój początek i swój cel...

MALARZ DRUGI: A zatem według ciebie, artysta jest...

ADAM: Artysta prawdziwy jest jakby kapłanem i służyć ma

wielkiej Sprawie Piękna, którego najwyższym wyrazem jest sam Bóg.

MALARZ TRZECI: A cóż ma dawać Sztuka ludziom, skoro wszystko Bogu?

ADAM: Niech przemawia do ich dusz, do serc, niech im otwiera oczy na ten cud piękna i na ten drugi cud, jakim jest umiejętność artysty, który na kawałku płótna, zapomocą marnego pędzla i farby, potrafi odtworzyć piękno dzieła Bożego.

MALARZ CZWARTY: Wiesz co, Adamie, tyś się zapóźno urodził. Tyś powinien był przyjść na świat w wiekach średnich, i być jednym z owych zakonników, którzy całe życie spędzali nad malowaniem świętych obrazów.

MALARZ PIERWSZY: A ja wam mówię, że on powinien się być urodzić świętym Franciszkiem.

MALARZ TRZECI: On i tak biedaczną zostanie, jeżeli nie będzie nigdy chciał swoją sztuką przypodobać się trochę i ludziom.

ADAM: Nigdy tego nie zechcę, wierzajcie mi, kochani. Ale, ale, chciałem wam coś powiedzieć i zapomniałem...

MALARZ PIERWSZY: Słuchaj, Adam, ja też oddawna już chcę zapytać ciebie o coś.

ADAM: Proszę, pytaj.

MALARZ PIERWSZY: A nie pogniewasz się, bo to właściwie niebardzo uchodzi nawet.

ADAM: Cóż za dziwactwa, przecieżeśmy koledzy i przyjaciele, powinniśmy być z sobą szczerzy.

MALARZ PIERWSZY: Ach, o żadną tajemnicę tu nie chodzi, ot, nie mogę uwierzyć, żeś ty naprawdę stracił nogę w powstaniu. Wszyscy tak gadają, ale ja chcę to usłyszeć z twoich własnych ust, że to było w Sześćdziesiątym Trzecim.

ADAM: Nie rozumiem dlaczego takie ci się to nieprawdopodobne wydaje. Przecież wiesz, że do powstania biegli nawet kilkunastoletni chłopcy.

MALARZ PIERWSZY: No, tak, wiadomo...

ADAM: Ja miałem wtedy lat siedmnaście. W Puławach kształciła się młodzież przede wszystkim ziemiańska, nie więc dziwnego, że jak tylko gruchnęła wieść, że Frankowski zbiera oddział, drapnęliśmy pierwsi nocą do obozu.

MALARZ DRUGI: Frankowski był jednym z najdzielniejszych dowódców.

ADAM: Tak... dopóki z powodu czyjejś zdrady nie został przez Moskali rozbity.

MALARZ PIERWSZY: No, a z tobą co było?

ADAM: Ja chciałem przedrzeć się do Galicji, tymczasem na granicy złapali mnie z bronią w ręku Austriacy i wsadzili do więzienia.

MALARZ PIERWSZY: Gdzie?

ADAM: W Ołomuńcu, alem się wkrótce stamtąd wydostał do Krakowa i wstąpiłem znowu do oddziału jazdy Chmielińskiego.

MALARZ PIERWSZY: Tego, co to Moskale nazywali „czortem“?

ADAM: Tak.

MALARZ CZWARTY: Przecieżeśmy ci mówili, że właśnie Adam był jego adjutantem.

ADAM: Było nas dwóch adjutantów...

MALARZ PIERWSZY: No, mnie obchodzisz na razie tylko ty, cóż dalej?

ADAM: Ano, daleko już nie zajechałem, bo wkrótce, akurat pode mną pękł granat i...

MALARZ PIERWSZY: Urwał ci tę nogę...

ADAM: Urwać nie urwał, ale strzaskał porządnie do samego kolana.

MALARZ PIERWSZY: To cię wtedy Moskale zagarnęli...

ADAM: A wtedy.

MALARZ PIERWSZY: Może cię to uratowało od szubienicy...

MALARZ DRUGI: Oni przecież nawet umierających umieli jeszcze za karę podciągnąć do stryczka.

MALARZ TRZECI: Ależ Adam zaimponował im swoim bohaterstwem. Przecież on sam, wyobraźcie sobie, trzymał świecę, kiedy mu lekarze odcinali tę nogę nieszczęsną.

MALARZ PIERWSZY: Ależ to nie może być! Jakim sposobem?

ADAM: Całkiem zwykłym — ciemno było, musiałem im świecić...

MALARZ CZWARTY (*szeptem do Pierwszego*): Czy to nie bohater?

MALARZ PIERWSZY: To się to tak odbywało żywcem... bez uspienia żadnego?

MALARZ TRZECI: Nie dziwota, przecież to było odrazu na miejscu, nocą, w lazarecie polowym... Któż się tam miał ciać z buntownikiem...

MALARZ CZWARTY (*szeptem*): Święty człowiek.

MALARZ PIERWSZY: Oj, ty, ty kochany Adamie.

ADAM: Byli biedniejsi ode mnie, ci, co właśnie dlatego, że cali, poszli pod knuty, albo na Sybir.

MALARZ PIERWSZY: To cię już tam nie pognali?...

ADAM: Pozwolili na kurację u krewnych...

MALARZ TRZECI: A on im rychło czmychnął za granicę.

MALARZ PIERWSZY: Ano... widać, że cię los przeznaczył na coś wielkiego...

MALARZ TRZECI: Na coś, na coś... Prostu na wielkiego malarza, który Polsce przysporzy sławy.

ADAM: Wolałbym przysporzyć jej dobra... Sława mnie nie pociąga.

MALARZ CZWARTY: To nie, za to sława ciebie pociągnie i już na to nie poradzisz.

ADAM: Wszystko jeszcze być może...

MALARZ PIERWSZY: Przecież nie zmarnujesz tyle pracy, czasu, no i tego...

MALARZ CZWARTY: Tego olbrzymiego talentu, który — do licha — musisz chłopie, czuć w sobie!

ADAM: Czuć... moi kochani... hm... to, co ja czuję w sobie, to jeszcze coś innego poza talentem, ale się w tym rozeznąć nijak nie mogę. I to mnie nęka, dręczy, spokoju nie daje. Ot, starym już chłop, a nie wiem dotychczas, jaką mi iść drogą.

MALARZ TRZECI: Bój się Boga! więc malarstwo ci nie wystarcza?

ADAM: Póki maluję... póki maluję pod tehniem Bożym — dobrze mi i niczego więcej mi nie trzeba... A kiedy tylko pędzel odłożę... czuję, że jestem niczem i sam nie potrafię niczego...

MALARZ DRUGI: To wszystko dlatego, że nie umiesz mocno stanąć nogami na ziemi, tylko ciągle latasz kędyś po niebie, szukając czegoś, co przed tobą ucieka.

ADAM: Tak... ucieka... Ale ja to jeszcze dogonię, muszę dogonić... i wtedy... stanę na ziemi tak mocno, jak ci nędzarze, którym nic wzroku od ziemi oderwać nie może... (*w najwyższym poruszeniu szybkim krokiem podchodzi ku oknu i oparłszy się łokciami o futrynę, patrzy w dół*). (*Chwila ciszy*).

MALARZ PIERWSZY: Adamie, drogi Adamie, uspokój się!

MALARZ DRUGI: Nie mieliśmy wcale zamiaru cię dotknąć.

MALARZ CZWARTY: Ot, tak się zgadzało samo, niewiadomo jak i kiedy.

MALARZ TRZECI: Wszyscyśmy właściwie to takie ptaki niebieskie, którym wiatr połamać jeszcze może skrzydła...

MALARZ DRUGI: Dla takich szaleńców, jak my, wszystko w życiu może być bodźcem, a jednocześnie byle co może się stać przyczyną zmarnowania.

MALARZ CZWARTY: Nie damy się. Nasza gromada musi zacieżyć na Sztuce polskiej. Każdy z nas powinien zająć w niej stanowisko odrębne i stać się wartością niezapomnianą!

MALARZ PIERWSZY: Dla Adama miejsce naczelne!

MALARZ DRUGI: Słyszysz, co się tu o tobie mówi?

ADAM (*odwracając się od okna*): Nie zakreślajcie dla mnie linii zbyt wysokiej, aby nie za wielkie potem było poniżenie... samibyście się wyrzec musieli przyjaciela.

MALARZ DRUGI: To już tylko ty, Adamie, dotrzyмай nam дружбы — o nas bądź spokojny.

ADAM: Spokojny... Czyż może tu na ziemi serce ludzkie zaznać spokoju, skoro dokoła tyle, tyle... smutku...

MALARZ CZWARTY: Można ten smutek twórczością pomniejszać... rozpraszać...

ADAM (*uraca do kolegów, stając wpośród nich na przedzie sceny*): Poruszyłeś myśl skrywaną jeszcze za lat dziecinnych... Jeśli mi Bóg nie odmówi łaski...

MALARZ DRUGI: Co zamýślasz?

ADAM: Pieszczę w duszy cudowny wizerunek Zbawiciela... Pragnąlbym, by się stał źródłem szczęścia ludzkiego...

MALARZ CZWARTY: Małoż takich wizerunków na każdym kroku?... Nie zrobisz tym nic nowego nad to, co zrobiło przed tobą tylu innych, i nawet nie artystów...

ADAM: Nie mów tak. Nigdy za dużo nie będzie na ziemi chwały Bożej i nigdy nie ujmie się ludziom zawiele cierpienia... A jeżeli Bóg pozwoli...

MALARZ DRUGI: Będziesz szukał modelu?

ADAM: Ach, gdzież model godny Chrystusa! Nieraz zdaje mi się, że go mam w sobie, tylko pędzel wziąć w rękę — i już... sam spłynie na płótno...

MALARZ PIERWSZY: Niby na chustę Weroniki...

ADAM: Serce zgodzić się nie może na jedno... Chciałbym Go mieć i na tym Jego tronie męki... z rozciągniętymi ramionami, z ostatnim człowieczym na świat spojrzeniem. I takiego innego... nieziemskiego już... a w pełni Swej duchowej boskości, w pełni miłosierdzia Swojego płomiennego serca...

MALARZ TRZECI: Więc maluj, maluj... może dźwigniesz polską sztukę religijną...

MALARZ DRUGI: Może ją wogóle stworzysz, boć przecie nie ma jej dotychczas w Polsce.

ADAM: Tak... rzecz przedziwna... naród, który tylu doznał łask, który tyle posiada miejsc cudami sławnych, nie zdobył się na własną sztukę Bogu poświęconą... Czyż nie jest to rodzajem pewnego kalectwa ducha polskiego?

MALARZ CZWARTY: Przecież myśmy się wogóle jeszcze nie wypowiedzieli, bo i kiedy, skoro nam brak tego najważniejszego warunku do pełnego życia — brak nam wolności.

ADAM: A jakżeby się trzeba do niej przygotowywać zawczasu...

MALARZ PIERWSZY: Spodziewasz się jej tak napewne?

ADAM: Czyż możnaby się nie spodziewać sprawiedliwości Bożej? Jeszcze może my doczekamy się cudu zmartwychwstania Polski...

MALARZ DRUGI: Trudno uwierzyć, aby to było już tak prędko.

MALARZ CZWARTY: No, jakże będzie z tym malowaniem twoim, zaczynasz odrazu?

ADAM: Odrazu?... Nie, do tego trzeba się także dopiero przygotować... Za wielka to rzecz, aby sobie tak lekko z tym poczynać.

MALARZ PIERWSZY: Więc co sobie wyobrażasz?

ADAM: Co ja sobie wyobrażam... Widzą mi się niekiedy klasztorne krużganki, cela zakonna... słoneczne, pełne kwiatów wirydarze... i wielka święta cisza...

MALARZ CZWARTY: Bój się Boga, Adamie! Ty się jeszcze ze stratą dla Sztuki zamkniesz naprawdę w klasztorze!

ADAM: Nie wiem, nie wiem nic, dopóki sam Pan nie przemówi do mnie... Dlatego tak się boję, że gotów Jego głosu nie dosłyszeć w tym zgielku, w jakim żyją artyści.

MALARZ CZWARTY: Więc skorośmy już na tę drogę zeszli, to ci powiem tylko tyle: pamiętaj o tym, że ten twój talent malarski to to samo, co ów talent ewangeliczny, którego ci zakopać nieużytecznie nie wolno...

ADAM: On wraz ze mną w ręku Pana. Niechaj się nami rozporządza wedle Swojej woli...

MALARZ CZWARTY: A więc?

ADAM: Pójdę, kędy mnie zawoła...

Zasłona spada.

OBRAZ DRUGI.

PIERWSZY ZEW.

OSOBY: Adam Chmielowski — Śmieciarz Pierwszy — Śmieciarz Drugi — Śmieciarz Trzeci.

Rzecz dzieje się około r. 1878 w Krakowie.

Scena przedstawia wolną okolicę nad Wisłą u stóp Wawelu.

W głębi sceny na składanym stołeczku siedzi Chmielowski, malując w otwartej kasce malarskiej. Na przedzie sceny, nie widząc go za sobą, siedzą na ziemi trzej Śmieciarze (wyrastki w nędznym odzieniu).

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Zapamiętaj sobie, ty czarny kudłacz, że jak cię jeszcze raz spotkam na swoim podwórku, to ci łeb rozbiję na ciasto.

ŚMIECIARZ DRUGI: Uważaj, żebym ja wpierw tobie zębów nie policzył swoim kijaszkiem od śmieci.

ŚMIECIARZ TRZECI: A tęgi, co się zwie! (*podnosząc pogrzebac z ziemi*), nie potrzeba ci będzie cyrulika...

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Żebym ja wam obu prędzej juchy nie popuścił, głodomory zatracone!

ŚMIECIARZ DRUGI: Jaki mi tu pan, patrzcie ino! Myślałby kto, że on nie wiadomo co, a tymczasem...

ŚMIECIARZ TRZECI: Takiś sam jak i my. Hakiem gmyrasz w śmietniku, a będziesz się wynosił nad drugich, co?

ŚMIECIARZ DRUGI: Cóżes lepszego od nas! Jaśniewielmożny pan od kości i szmat...

ŚMIECIARZ TRZECI: Nie, to dopiero jego syn będzie jaśnie panem hrabią, jak on się ożeni z tą starą czarownicą, co to nam ciągle w drogę włazi.

ŚMIECIARZ DRUGI: Już ja sobie i z nią dam radę, nie bój się.

ŚMIECIARZ TRZECI: Cóż jej zrobisz?

ŚMIECIARZ DRUGI: Niechno ją ino przylapię na osobności, to jej ten kosmyk, co ciągiem z pod chusty wylazi, podpalę siarniczką jak słomę...

ŚMIECIARZ TRZECI: Cha-cha-cha, toby babsko uganiało jak kot z pęcherzem u ogona!

ŚMIECIARZ DRUGI: Nno!... ino kotowi dalej od ogona do głowy, a jej by odrazu... fiu... fiu...

ŚMIECIARZ TRZECI: Przynajmniej raz by wszystkie wszy zginęły, nie potrzebowałyby baba sama ich wyszukiwać codziennie.

ŚMIECIARZ DRUGI: Jeszczeby mi za to zapłacić powinna, że ją tak galantnie wyczeseję.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Wyczesałoby ciebie za to w kryminale, nie bój się!

ŚMIECIARZ TRZECI: Ano... leciałbyś zaraz do nich z językiem, co, ty psiawiaro! Poczekaj, dobrze, że wiem.

ŚMIECIARZ DRUGI: Trzebaby jemu zawczasu przyciąć ten ozór, żeby go trzymał za zębami, kiedy go nikt nie pyta. Zdrajca jeden, szpiegun, Judasz!

ŚMIECIARZ TRZECI: Takich na gałęzi wieszają, wiesz?

ŚMIECIARZ DRUGI: Dyndał będziesz na stryczku, to ci dopiero wtedy język z gęby wylezie.

ŚMIECIARZ TRZECI: Ino gadać już nie będziesz mógł nijak.

ŚMIECIARZ DRUGI: O to właśnie chodzi, żeby nie mógł brechać.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Jak mi się zechce, to będę gadał i już, myślicie, że ja się was bardzo boję.

ŚMIECIARZ TRZECI: A może my ciebie, co?

ŚMIECIARZ DRUGI: Ja się już cały trzęsę ze strachu... ojoj, ojoj, ojoj...

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Migaj z drogi, bo ja się chcę patrzeć.

ŚMIECIARZ DRUGI: Albo co?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Ślepyś, nie widzisz, że tam siedzi...

ŚMIECIARZ DRUGI (*oduracając się*): No to co, panisko jakieś, niech ta siedzi.

ŚMIECIARZ TRZECI: Papirusa by go poprosić, możeby dał.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Rozgląda się ino i rozgląda, jakby tu co ciekawego było.

ŚMIECIARZ DRUGI: A może jemu chce się wody zakosztować z Wisły, hej...

ŚMIECIARZ TRZECI: Idźno, głupi, nie widzisz jakie na nim ubranie alaganckie?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: I pierściunek złoty widać mu na palicu...

ŚMIECIARZ DRUGI: To ci pewnie jakiś hrabia prawdziwy, nudzi mu się, to i gapi się, jak sroka w kość.

ŚMIECIARZ TRZECI (*skrada się, by zajrzeć z bliska malarzowi w kasetę, poczem, wróciwszy*): Te, te, te... to ci malarz, nieboże... będzie se pewnie rzyke malować.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Ot, i sprawiedliwość na tym świecie! Jeden w śmietniskach musi grzebać, żeby kawałek chleba zarobić, a drugi to sobie pędzlem ino maźga i już grosza mu za to dadzą.

ŚMIECIARZ DRUGI: To ci się on przecie uczyć musiał tego malowania, inaczej nie.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Jabym go nauczył kości i szmaty wyciągać i do worka pchać.

ŚMIECIARZ TRZECI: A tyby za niego malował, co?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Potrzeba mi ta jego malowania, jak psu wódki.

ŚMIECIARZ TRZECI: No, to co ci on przeszkadza?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: A co mi ma przeszkadzać, niech sobie maluje do choroby.

ŚMIECIARZ TRZECI: A ja mu się takoj przypatrzę jak on to robi.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Wielka sztuka: naleje wody do farby, albo i napluje, wsadzi pędzel i śmiga nim po papierze czy tam po jakiej deszczulce.

ŚMIECIARZ TRZECI: Oj, ty, ty, mądryś jak twój pogrzebacz do śmieci! Możeby on tobie gębę wymalował, tobyś był ładniejszy.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Znowu zaczynasz, co?

ŚMIECIARZ TRZECI: A boś głupi, jak krowi ogon.

ŚMIECIARZ DRUGI: Ty, Antek, onby tak i malował, jak krowa ogonem.

ŚMIECIARZ TRZECI: Cha, cha, cha, cha. I zaraz by mu za to zapłacili.

ŚMIECIARZ DRUGI: Tak jak krowie: kijem po grzbiecie.

ŚMIECIARZ TRZECI: Przecie to sztuka malować.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Albo ty wiesz!

ŚMIECIARZ TRZECI: A wiem, bom widział, jak tutaj raz sobie Wawel malował taki malarz.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Już jaby ta nie miał do tego cierpliwości.

ŚMIECIARZ DRUGI: Pewnie, że łatwiej hakiem gałgany wyciągać.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: A ty co?! Nie to samo robisz? Patrzcie jaki mi tu!

ŚMIECIARZ DRUGI: Stul dziób, czego chcesz znowu!

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Ty zatkaj paszczkę!

ŚMIECIARZ DRUGI: Lunąłbym cię zaraz w facjatę, ino mi się nie chce wstać.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Co, ty mnie? *(zrywa się do niego z ziemi).*

ŚMIECIARZ DRUGI *(do trzeciego):* Antek ratuj!

ŚMIECIARZ TRZECI *(który stał bliżej Adama i przypatrywał się jego robocie, skacze na pomoc, kulakując):* A ty

czorcie kudłaty, a ty psiawiaro, a ty draniu zapowie-trzony, ty...

ŚMIECIARZ DRUGI: Wal go przez łeb, wal go w zęby!

(W czasie bitki Śmieciarzy Adam wstał ze swego miejsca i mając obie ręce zajęte malarskimi przyborami, podbiega do Śmieciarzy).

ADAM: Ejże, dajcie spokój! No, słyszycie, jeden z drugim! *(Bitka trwa dalej).*

ADAM *(zamierzając się pędzlem ku nim):* Ty, puść go, mówię ci, puść go, bo ci całą gębę zamaluję! Ach, co to za zabijaki niepoczciwe!... Ty, ty chodź tu do mnie, chodź, nauczę cię malować, słyszysz?

(Na te słowa odrywa się Śmieciarz Trzeci i odwraca do Adama, tamci jeszcze się tłumią, lecz słabiej).

ADAM: No, a wam coś powiem, dam wam coś, słuchajcie, no, przecież tak nie można!

(Śmieciarz Pierwszy i Drugi zaprzestają nareszcie walki, odstupują od siebie, poprawiają włosy i odzienie na sobie).

ADAM: Czy wam nie wstyd tak się mordować, jak jakie rozbójniki?

ŚMIECIARZ DRUGI: To czego sam zaczyna?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: A ty czego wyzywasz, co?

ADAM: No, dosyć już, dosyć, jak się pogodzicie, to was obu wymaluję i będziecie mieli swoje portrety.

ŚMIECIARZ DRUGI: Jakie portrety?

ADAM: Portret — tak się nazywa obraz, na którym kogoś odmalowano.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: A nam co z tego przyjdzie?

ADAM: Ano, prawda... wy biedacy, nie macie gdzie powiesić sobie obrazki na ścianie.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: To tak u bogaczów bywa, a my co? śmieciarze, kości i szmaty wybieramy ze śmietników.



ŚMIECIARZ DRUGI: Pan może nawet nie wie...

ADAM: Wiem, wiem, i słyszałem jakęście się tu wyzywali wzajemnie. O cóż wam tak chodzi, przecież śmietników w Krakowie dosyć dla każdego.

ŚMIECIARZ DRUGI: Każdy ma swoją część. Jakby tak każdy wszędzie laził — toby wszystko najlepsze sobie zabrał, a drugiemu zostawiłby... (*śmieje się*).

ADAM: No, no, no już się przecie pogodzicie.

ŚMIECIARZ DRUGI: A papieroska pan ma?

ADAM: Ktoby tam pieniądze puszczał z dymem w powietrze. Zafunduję wam zamiast papierosa co innego, dobrze?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Papieros lepszy niż wszystko.

ŚMIECIARZ DRUGI: A mnie pan kiedy nauczy malować?

ADAM: Oho, ty myślisz, że to tak można odrazu. Przyjdiesz kiedy do mnie do domu, to zobaczymy czy masz jakie zdolności. A do szkołyś chodził?

ŚMIECIARZ TRZECI: Chodziłem...

ADAM: Jak długo?

ŚMIECIARZ TRZECI: Dwie klasy.

ADAM: O, to mało, mało... Czemu tylko tyle?

ŚMIECIARZ TRZECI: Nie było za co, rodzice biedni.

ADAM (*zwracając się do drugich Śmieciarzy*): A wy umiecie choć czytać?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: A mnie do jakiego czorta czytanie, do szmat to ino hak tęgi i worek na plecy.

ŚMIECIARZ DRUGI: A ja kiedy znajdę co w śmietniku drukowanego, to zaraz próbuję, ale trudno. Zapomniał już ja na czysto.

ADAM: Gdybyście chcieli, tobym was uczył.

ŚMIECIARZ DRUGI: Czasu nie ma, nieraz przez cały dzień nic nie znajdę, za co by żydy grosz dały.

ADAM (*do Pierwszego*): A ty?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Ja tam już za stary do lementarza...

ADAM: Uczyć się można do samej śmierci. No, a wiecie przynajmniej co to za zamek tu przed nami?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: At, sobie zamek, Wawel go nazywają.

ŚMIECIARZ TRZECI: Tu króle mieszkali za dawnych czasów.

ŚMIECIARZ DRUGI: A mój ojciec to tu w kasarni siedział, jak służył w wojsku. Tu same koszary dla żołnierzy.

ADAM: Teraz tak... ale kiedyś będzie inaczej. Polska odbierze z powrotem ten zamek swoich królów, gdy będzie wolna.

ŚMIECIARZ DRUGI: A gdzie się wojsko podzieje?

ADAM: Tego wojska u nas nie będzie, bo to obce, austriackie.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Tylko co będzie?

ADAM: Jak Pan Bóg pozwoli, będziemy mieli swoje wojsko, polskie, a zamek będzie z powrotem dla...

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Dla królów?

ADAM: Może i dla królów, kto wie, ale nie będzie służył obcym jak teraz.

ŚMIECIARZ TRZECI: A pan był może na wojnie?... wedle tej nogi...

ADAM: Ano, byłem, walczyłem za Polskę.

ŚMIECIARZ TRZECI: A dlaczego?

ADAM: Aby ją odebrać od wroga, aby mogła być nasza, wolna, aby nikogo obcego słuchać nie potrzebowała.

ŚMIECIARZ DRUGI: No i co?

ADAM: Jeszcze nas Pan Bóg do czasu trzyma w niewoli.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Szkoda panu teraz nogi, co?

ADAM: Co tam noga, każdy Polak to i życie powinien oddać chętnie za Polskę, bo to przecież jego ojczyzna.

ŚMIECIARZ DRUGI: A gdzie ta noga została?

ADAM: Noga — ho, ho, daleko, bo to ja z Moskalami się bilem, a tu rządzą przecież Austriacy.

ŚMIECIARZ TRZECI: To pan z naszym cysarzem nie wojował, ino z Moskałem?

ADAM: Oj, Boże, jacyście wy biedni, moi chłopcy kochani, że nawet o tej naszej Polsce nic nie wiecie i myślicie, że my to jakiegoś swojego cesarza mamy. Przecież to cesarz austriacki, on ma jedną część Polski, car rosyjski ma drugą, a...

ŚMIECIARZ TRZECI: Ja już wiem: a cysarz niemiecki trzecią, prawda, panie?

ADAM: Tak, na trzy kawalki rozdarli nam Polskę i oddać teraz nie chcą.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Albo to nie można odebrać? Niechby się ino wszyscy nasi zebrali do kupy, toby oni musieli oddać, co ukradli.

ADAM: Może jeszcze kiedyś przyjdzie do takiej wojny, po której wolna Polska powstanie.

ŚMIECIARZ TRZECI: A pan by poszedł jeszcze na tę wojnę?

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Głupiś, jakże z takim kulasem iść na wojnę. Przecież to ani maszerować, ani na konia wleźć nie można.

ADAM: To już chyba wy, albo wasze dzieci, odbierzecie Polskę z rąk obcych, ale to kochać ją trzeba mocno, serdecznie, a wy biedaki nawet nie wiecie, coście za jedni, Austriacy, czy Polacy, czy może...

ŚMIECIARZ DRUGI: Ja Polak!

ŚMIECIARZ PIERWSZY: I ja także.

ADAM: No, a ty? *(do Trzeciego)*.

ŚMIECIARZ TRZECI: Ja... ja Polak, mój dziadek był w powstaniu...

ADAM: I czemuż wy się tak bijecie między sobą — przecieścieście bracia, skoro jesteście Polakami.

ŚMIECIARZ DRUGI: Ee, bo to nas kto czego uczył kiedy...

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Ot, żyje człowiek jak ten pies... Ani co żreć, ani gdzie spać, nic... ino w tych smrodach grzeb, żeby jaki grajcar zarobić. Panu dobrze mówić, jak pan ma pieniędzy dość, a my co?

ŚMIECIARZ TRZECI: Tyle naszego zarobku, co te kości, a szmaty. A bywa, że i na bułkę nie zarobisz... to i człowiek zły jeden na drugiego, jako ten diabeł. Pan nie wie, ile to biedoty żyje tutaj w Krakowie...

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Niech się pan przejdzie na Kaźmierz, tam, między żydy...

ADAM: I tam także nasi mieszkają?

ŚMIECIARZ DRUGI: Ojej, jeszcze ile!

ŚMIECIARZ TRZECI: Oj, żeby pan wiedział, co ja raz widział... w takiej, wi pan, piwnicy, co się to nazywa suteryny... Ciemno tam, jak... nie wiem gdzie... a smród, a gnój, a ludziska, prawdę mówię, bez portek, bez koszułi, leżą tak w tym gnoju jako te świnię... To ja — jak nie zadrę kopyta — i tyle mnie widzieli.

ADAM: A pociś ty tam chodził?

ŚMIECIARZ DRUGI: My tam nieraz gdzieniebądź przenocować próbowali... Ale oni to tam mieszkali całkiem. i nikogo dopuścić nie chcieli.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: My by pana zaprowadzili kiedy, żeby pan widział, jak biedni ludzie mieszkają, ale co... pan by tam nie chciał iść, bo tam... tfu, szkoda gęby mówić nawet o tym...

ADAM: Owszem, chciałbym... i kiedyś może pójdę...

ŚMIECIARZ TRZECI: Pan tam nie trafi sam.

ADAM: Trafie, trafie, jak zechcę to trafie.

ŚMIECIARZ PIERWSZY: No tak, ale my tu z panem gadu-gadu, a w brzuchu aż wierci od głodu. Trza pójść co zjeść.

ADAM: A macie na to? Poczekajcie, ja wam dzisiaj dam na porządny obiad, tylko nie bijcie się, nie bądzcie tacy źli na siebie. Przecież Pan Bóg tak nie pozwala.

Trzeba choć trochę żyć inaczej... koniecznie... No, idźcie z Bogiem (*daje każdemu pieniądze do ręki*).

ŚMIECIARZ PIERWSZY: Dziękujemy, a ostań pan także z Bogiem.

ŚMIECIARZ DRUGI: Do widzenia z panem.

ŚMIECIARZ TRZECI: Do widzenia...

ADAM: Do widzenia, do widzenia, a nie zapomnijcie o mnie, chcę być waszym przyjacielem...

ŚMIECIARZ TRZECI: Nie, nie zapomnimy o panu!

(*Śmieciarze odchodzą*).

ADAM (*patrzy za nimi, chowa pędzle, zamyka kasetę, odkłada na ziemię; ręce ma wolne. Po chwili podnosi dłoń do czoła, tak trwa w zamyśleniu, wreszcie mówi ze smutkiem serdecznym*): Wszędzie, wszędzie nędza... gdzie się obejrzyysz, nędza... Co robić, co robić, o, Boże, Boże, Boże... (*Wpatrzony przed siebie trwa w milczeniu, nagle drgnął gwałtownie*): Co mówisz, Panie?... To Ty odzywasz się do mnie, Chryste?!... Rzucić wszystko... wszystko rzucić... i poświęcić się tym biedakom?!...

Po chwili zapada powoli zasłona.

OBRAZ TRZECI.

JUŻ IDE...

OSOBY: Adam Chmielowski — Stanisław Chmielowski —
Jezuita — Dyrektor szpitala — Lekarz — Służący.
Rzecz dzieje się w r. 1881 w szpitalu pod Lwowem.
Scena przedstawia kancelarię Dyrektora szpitala.
Po podniesieniu zasłony Dyrektor sam przy biurku.

SŁUŻĄCY (*wchodzi z listem i podaje Dyrektorowi*).

DYREKTOR: Co, znowu poczta?

SŁUŻĄCY: Kazali oddać natychmiast, sami czekają w poczekalni.

DYREKTOR: Kto taki? (*wśród tego przebiega pośpiesznie list oczyma*).

SŁUŻĄCY: Wydaje mi się, że to będą nie świeccy...

DYREKTOR: Księża, zakonnicy?

SŁUŻĄCY: Jeden jakby ksiądz, drugi nie wiem kto taki być może... Też jakby duchowny, ale chyba nie, bo kulawy...

DYREKTOR: Kulawy?

SŁUŻĄCY: Ano, drewnem stuka...

DYREKTOR: Poprosić pana doktora Lisieckiego, niech przyjdzie natychmiast do mnie tutaj do kancelarii.

SŁUŻĄCY: A gości wprowadzić?

DYREKTOR: Najpierw pana doktora.

SŁUŻĄCY: W tej chwili (*wychodzi*).

DYREKTOR (*ciągle przegląda list, twarz jego wyraża zdziwienie*).

(*Po chwili pukanie do drzwi i wchodzi Lekarz*).

DYREKTOR: Wyobraź sobie, doktorze kochany, kogo nam tu przyprowadzają...

LEKARZ: No, kogóż takiego nadzwyczajnego, skorośmy tu już do wszelkich różności przyzwyczajeni?

DYREKTOR: Mówi co panu nazwisko Chmielowski?

LEKARZ: Chmielowski... a imię?

DYREKTOR: Adam.

LEKARZ: Tożto chyba ten malarz słynny już dziś w Polsce... Monachijczyk podobno.

DYREKTOR: Otóż przysyłają go nam właśnie Ojcowie Jezuici ze Starej Wsi... Siedzi już z nim ktoś w poczekalni.

LEKARZ: Cóż mu się stało tak niespodziewanie! Ale przede wszystkim, skąd się wziął u Jezuitów?

DYREKTOR: W nowicjacie był u nich od pół roku, lecz boją się go trzymać dłużej, bo zdradza jakiś stan nie-normalny.

LEKARZ: Naprzykład, co takiego? Może początek melancholii...

DYREKTOR (*czyta z listu*): Przeżywa jakieś straszne wewnętrzne walki, burze, wątpliwości, ciągle rozmawia z samym sobą czy z Bogiem, wyprasza się jakby od czegoś i o coś błaga. Przestał prawie zupełnie przyjmować pokarmy, nie odzywa się do nikogo z otoczenia, po całych dniach siedzi wpatrzony w dal, z włosami w nieładzie, jakby pod gniotącym go okrutnie ciężarem... Wobec tego — piszą mi dalej Jezuici — nie możemy brać na siebie dalszej odpowiedzialności i odsyłamy go do Szanownego Pana Dyrektora pod obserwację, dając jednocześnie znać o tym jego bratu w Kudryńcach, panu Stanisławowi Chmielowskiemu.

LEKARZ: A więc trzeba go tu sprowadzić.

DYREKTOR: Na to właśnie prosiłem pana doktora, byśmy obaj jednocześnie mogli porobić pierwsze spostrzeżenia (*dzwoni*).

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

DYREKTOR: Proszę przyprowadzić.

SŁUŻĄCY (*wychodzi*).

LEKARZ: Prawdopodobnie początek obłędu na tle religijnym. Szkoda człowieka... taki zdolny i przecież jeszcze młody, mimo że już weteran powstania.

DYREKTOR: Ach, to z tej racji owa noga drewniana?...

LEKARZ: Tak, a mimo takiego kalectwa skończył inżynierię w Gandawie.

DYREKTOR: Co też pan mówi! I inżynier z niego, i malarz, i w dodatku święty — jak tam dalej piszą o nim Ojcowie Jezuici. Ano, bywa tak niekiedy, że od nadmiaru zdolności kończy się w takim zakładzie... Trudno — jeden ma za mało w głowie, a drugi za dużo.

LEKARZ: Idą już...

(*Pukanie*).

SŁUŻĄCY (*wpuszcza Adama Chmielowskiego i Jezuicę, sam wychodzi*).

DYREKTOR i LEKARZ (*podają rękę obu przybyłym, poczem wszyscy siadają, z wyjątkiem Adama*).

LEKARZ (*wskazując na krzesło stojące w pewnej odległości*): Proszę, niech pan spocznie.

ADAM (*bierze krzesło z przed biurka, odchodzi z nim pod okno i tam dopiero na uboczu siada*).

(*Tocząca się rozmowa odbywa się głosem przyciszonym, tak, aby Adam jej nie słyszał*).

DYREKTOR (*do Jezuity*): Jak się odbyła podróż?

JEZUITA: Zupełnie szczęśliwie, ale też w zupełnym milczeniu. Wogóle nie ma on swojej woli w ostatnich czasach.

LEKARZ: A przedtem?

JEZUITA: Zaczął odbywać swój nowicjat — zdawało się — pełen wewnętrznego szczęścia. Trwało to jednak nie długo... Rychło ogarnęły go niepokoje, których nic nie było w stanie przełamać. Jedynie w chwilach przyjmowania Komunii świętej jaśniał rozpromienionym obliczem tak, że go uważać zaczęli towarzysze za świętego.

LEKARZ: A potem?

JEZUITA: Ledwie chwila zachwyty minęła, wracała rozpacz i męka wewnętrzna.

DYREKTOR: Skarży się na jakie cierpienia fizyczne?

JEZUITA: Na nic się nie żalił nigdy, nawet na owe cierpienia duchowe, znosił je z nadzwyczajnym męstwem, aż wreszcie spostrzeżliśmy to sami, tym bardziej, że zaczął podupadać na zdrowiu.

LEKARZ: Chętnie wyjechał z klasztoru?

JEZUITA: Jak dziecko... pozwala z sobą robić wszystko i robi tylko to, co mu się każe.

DYREKTOR: Więc rozumie, co się do niego mówi...

JEZUITA: Ależ tak, wszystko. Umysł jego nie poniósł jeszcze najmniejszego uszczerbku. Jenó nie obchodzi go nic poza tym, co się w duszy jego odgrywa.

LEKARZ (*zwracając się do Adama*): Może pan wyjrzy przez okno... zajmujący tam widok... ogród pełen drzew i kwiatów.

ADAM (*podnosi się z krzesła i staje przy oknie*).

(*Dalsza rozmowa znowu przyciszonym głosem*).

LEKARZ (*do Jezuitę*): Więc spokojny jest zupełnie?

JEZUITA: Najzupełniej. Spokojny i bezpieczny dla otoczenia. Dla nas strata tego szlachetnego człowieka jest nie do powetowania... Byłaby z niego dla Zakonu ozdoba nieśmiertelna...

DYREKTOR: Może się jeszcze da uratować... Rzecz oczywista, że obserwacja nasza potrwać musi czas dłuższy, gdyż odrazu niczego nie da się ustalić.

LEKARZ: Właśnie taki stan nieokreślony ciągnąć się może w nieskończoność. Miewaliśmy wypadki niby podobne, chociaż właściwie każdy wypadek w tej dziedzinie jest odrębny.

JEZUITA: Jednak tutaj zachowuje się nieco inaczej, niż w domu, nie wyraża na zewnątrz tej strasznej rozpacz, jaka w nim szaleje.

LEKARZ: Zobaczmy... (*podchodzi do Adama, stojącego przy oknie*). Piękny jest świat, nieprawdaż?... tylko pójść gdzieś daleko i rozkoszować się słońcem i ciepłem.

ADAM (*wznosząc, to opuszczając głowę, wyraża okropny lęk przed czymś, załamuje ręce, podnosi dłonie do twarzy, płacze, ale nic nie mówi*).

DYREKTOR i JEZUITA (*obserwują to i porozumiewają się z sobą milcząco*).

LEKARZ (*kładąc rękę na ramieniu Adama*): Może pójdziemy... tak tam radośnie, wesoło.

ADAM (*obie dłonie przyciska do swej piersi, przymyka oczy i wzniosłszy głowę, wygląda tak, jakby czekał na jakiś straszny cios, co ma paść nań z góry*).

LEKARZ: Nie ma pan ochoty... woli pan zostać tutaj... no, to nie pójdziemy... Proszę sobie tu zostać... Tu przy oknie, to jakby w samym ogrodzie... (*wraca do pozostałych*).

DYREKTOR: I cóż doktor na to powiadasz?

LEKARZ: Na razie nic orzec nie mogę... Wydaje się całkiem świadomy siebie i tego co się dokoła niego dzieje, ale panuje nad nim rzeczywiście jedna jedyna myśl.

DYREKTOR: A tą myślą jest...

LEKARZ: Jakby jakaś groza przed wiszącym nad jego głową przeznaczeniem...

JEZUITA: Może mu rzeczywiście Opatrzność wyznaczyła coś do spełnienia na ziemi i duch się wzdraga przed tym i broni... Lecz któż się o tym przekona kiedy...

DYREKTOR: Możliwą jest rzeczą, że z tego dopiero się coś wyłoni, że obecny stan zamieni się na inny, w którym łatwiej będzie się można zorientować. Tymczasem niechaj zostanie u nas.

JEZUITA: Więc mogę odjechać?

DYREKTOR: Tak... w najbliższym czasie skomunikujemy się z jego bratem, którego adres mamy w liście wielebnych Ojców.

(Żegnają się).

JEZUITA *(waha się czy podejść do Adama, czy wyjść bez pożegnania, na co Lekarz daje mu znak, by odszedł nieznacznie, więc szybko wychodzi).*

DYREKTOR z LEKARZEM *(podchodzą do Adama, stojącego ciągle w oknie, i wzięwszy go z obu stron pod ramię, prowadzą ku środkowi pokoju).*

DYREKTOR: Będzie tu panu dobrze między nami... będziemy się razem bawili, grali w krokieta w ogrodzie...

ADAM *(z pochyloną ku ziemi głową, daje się prowadzić, nie odpowiada, tylko wzdycha ciężko, jak gdyby z trudem chwytając powietrze).*

(Pukanie).

SŁUŻĄCY *(wchodzi, podając bilet Dyrektorowi).*

DYREKTOR *(czyta i podaje Lekarzowi. Do Służącego):* Prosić.

(Wchodzi Stanisław Chmielowski, brat Adama).

STANISŁAW CHMIELOWSKI: Adamie, drogi braciszku! *(obejmuje go czule i ściska).*

ADAM *(kładzie mu głowę na ramieniu i szlocha).*

STANISŁAW *(następnie wita się z Dyrektorem i Lekarzem).*

ADAM *(wraca do okna i wpatruje się w ogród).*

STANISŁAW: Pozwoli pan Dyrektor, że ja go natychmiast zabiorę stąd do siebie.

DYREKTOR: Stan jego wymaga opieki lekarskiej... i zresztą

brat pański został nam powierzony przez Zakon Ojców Jezuitów.

STANISŁAW: Gdybym był wcześniej dowiedział się o takim zamiarze z ich strony, byłbym do tego nie dopuścił.

LEKARZ: Pan mu tego nie może zapewnić, co mu da zakład specjalny... Tutaj może odzyskać zdrowie z powrotem.

STANISŁAW: Ależ nie uwierzę w to nigdy, by Adam był umysłowo chorym. W spokoju, w ciszy wiejskiej powróci mu z pewnością dawna równowaga. Zresztą... na moją odpowiedzialność, którą stwierdzę własnoręcznym podpisem, możecie mi go panowie wydać.

DYREKTOR: Przyznać muszę, iż trochę mi żal, że go pan nam odbiera.

LEKARZ: Najtroskliwszą otoczylibyśmy go opieką.

STANISŁAW: Z serca dziękuję panom za to, ale zrozumiecie mnie... przecież to najukochańszy mój brat... *(Siada przy biurku i pisze).*

ADAM *(nie zwraca na nich najmniejszej uwagi, tylko wpatruje się w ogród).*

(W chwili gdy z powodu pisania nastala cisza, dolatuje z ogrodu donośny śpiew słowika).

ADAM *(uderzony tym niespodziewanym śpiewem, najpierw trochę się wychyla, potem się cofa, załamuje dłonie, wreszcie wyciąga obie ręce ku oknu, jakby do kogoś, kogo w ogrodzie zobaczył, i pełen przejęcia wydaje z siebie okrzyk):* Ach, pójdę, pójdę, choćbyś mi, Panie i po węglach żarzących iść kazał, to uczynię... Wszędzie, gdzie mi rozkażesz — pójdę, i wszędzie będę chwalił święte Imię Twoje... Już idę!

STANISŁAW, LEKARZ i DYREKTOR *(ze swoich miejsc nagle zwracają się w stronę okna i do końca obrazu niezmiennie obserwują Adama).*

Zasłona spada.

OBRAZ CZWARTY.

APOSTOŁ.

OSOBY: Adam Chmielowski — Prokop — Wieśniak Pierwszy — Wieśniak Drugi — Wieśniak Trzeci — Wieśniak Czwarty — Jędrus — Żandarm rosyjski.

Rzecz dzieje się w r. 1883 na Podolu na wsi.

Scena przedstawia wiejską zagrodę.

Po podniesieniu zasłony na scenie czterej Wieśniacy, siedząc przed chatą, rozmawiają.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Jak się też to cicho zrobiło na wiosce, od kiedy nam Moskale ten klasztor kochany zamknęli... Jezu, o Jezu Miłosierny...

WIEŚNIAK DRUGI: Ani dzwonu wielkiego posłyszeć, ani bodaj tej sygnaturki lichej, co to trzy razy dnia na Anioł Pański wołała.

WIEŚNIAK TRZECI: I jakże chodzić tyła drogi aż do miasta, skoro się nam tu już modlić nie wolno...

WIEŚNIAK CZWARTY: Latem to jeszcze pół biedy, ale zimą...

WIEŚNIAK PIERWSZY: I tak ciężko — i tak nie lekko... Strach przecie na cały dzień dom ostawić bez opieki, albo i dzieci same, aby ogień gdzieniebądź zaproszyły...

WIEŚNIAK DRUGI: Taki ci dopust Boży nad nami, że ani żyć ani umierać teraz człowiekowi...

WIEŚNIAK TRZECI: Zapomniał, widno, Pan o swoim narodzie, kiedy na taką niesprawiedliwość pozwolił...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Hej, wielki Boże, czy to kto sły-

szął na świecie, aby ludziom kościoły zamykać, zakonników wyganiać z klasztorów, modlić się do swego Boga nie pozwalać...

WIEŚNIAK TRZECI: Alboście to nie słyszeli, że już tak bywało w dawnych czasach, ledwie ino Pan Jezus odszedł z naszej ziemi, że prześladowali wszystkich, co ino w Niego wierzyli...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Powiadacie! Ale to przecie ino poganie chrześcijan prześladowali... A ci tutaj... gadają... tacy chrześcijanie jak i my, ino że prawosławni.

WIEŚNIAK CZWARTY: No i chcieliby wszystkich na tę swoją wiarę prawosławną przerobić, dlatego wyrzucają naszych zakonników, gdzie tylko mogą.

WIEŚNIAK TRZECI: A to oni nam i kościoły wszystkie zamknąć gotowi, żeby w nich księża nie uczyli...

WIEŚNIAK CZWARTY: Kto ich tam wie, co jeszcze zrobia z tą biedną Polską... Chcieliby, żeby wszędzie ino Rosja była i car batiuszka, jako tam u nich w samej Moskwie.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Niedoczekanie ich!

WIEŚNIAK DRUGI: Na wszystko trza być gotowym, bo to ich jakby jaki bies napadł, tacy rozeźleni, że strach.

WIEŚNIAK TRZECI: Nic. ino jak te sobaki wszędzie węszą, czy gdzie kto na ich cara co nie powie, albo nie chowa jakiego obrazka z polskim orłem...

WIEŚNIAK PIERWSZY: I powiedzcie, moi ludzie kochani, jak nam żyć dalej w tej niewoli okrutnej... Że się też Pan Bóg nijak zlitować nie chce nad naszą Polską.

WIEŚNIAK CZWARTY: Miłosierdzia nam swego poskapił do czysta...

WIEŚNIAK TRZECI: I znikąd zmiłowania nijakiego nie widać.

WIEŚNIAK PIERWSZY (*uderzając się w czoło*): Oj ta! Byłbym całkiem zapomniał, że mam coś wam powiedzieć... Ino cicho o tym, sza! Gęby pozamykać, aby jeszcze jaki Judasz się nie znalazł i nie doniósł...

WIEŚNIAK DRUGI: Toż gadajcie, bo jak ino strach, żeby kto nie słyszał, to pewnikiem o Polsce.

WIEŚNIAK PIERWSZY: O Polsce, nie o Polsce, ale pewnie, że to z nikąd, ino z Polski.

WIEŚNIAK TRZECI: Cóż takiego?

WIEŚNIAK PIERWSZY: Słyszał ja, że tu na Podolu jeździ po wioskach naszych jakiś tam pan, nie pan, Bóg go zna, ale z Królestwa czy Warszawy, i gada między ludźmi nikię ksiądz.

WIEŚNIAK CZWARTY: Może to i ksiądz...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Jaki tam ksiądz, kiedy ani sukni duchownej nie ma, ani tego kółeczka na głowie, co to po nim zaraz poznać można.

WIEŚNIAK TRZECI: A jak wygląda?

WIEŚNIAK PIERWSZY: Sam ja go i nie widział... ale powiadają ludzie, że zarost nosi, i buty z cholewami, a nogę to ino jedną ma, bo drugą mu Moskale obcięli, kiedy się im ranny dostał do niewoli.

WIEŚNIAK DRUGI: Ejże, czy to nie jaki pop moskiewski przebrany, co to chytro chce naszych złapać dla cerkwi... uważać trza...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Kiedy mówią, że dobry jak anioł.

WIEŚNIAK TRZECI: I cóż on robi po wsiach między ludźmi?

WIEŚNIAK PIERWSZY: Zakon ci jakiś zakłada świętego Franciszka...

WIEŚNIAK CZWARTY: Co też gadacie! To pewnikiem tercjarz będzie, kiedy o świętym Franciszku opowiada. Toby ci nam Pan Bóg pociechę zesłał, żeby go i do nas przyprowadził...

WIEŚNIAK PIERWSZY: A gdzie to się podział nasz stary Prokop, że go dotąd nie widać?

WIEŚNIAK DRUGI: A jeszcze o świecie kędyś się wybrał i nie wraca...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Onby może co wiedział, ale skryty, że ani pary z gęby nie wypuści... Nic, ino słucha a przepada, że sam Pan Bóg chyba wie, którędy się podziewa...

WIEŚNIAK TRZECI: Widzi mi się, że ktoś tam biegnie ku nam...

WIEŚNIAK PIERWSZY: A to i Jędrus właśnie od Prokopa...

(Przybiega Jędrus, wyrostek wiejski).

JĘDRUS: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

WSZYSCY: Na wieki wieków, amen.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Co też nam powiesz, Jędrusiu, dziadzio już wrócili?

JĘDRUS: Dziadzio przykazuja, żebyśta na niego czekali i nigdzie się nie rozchodzili.

WIEŚNIAK DRUGI: A bo co?

JĘDRUS: Ja nie wiem, ino tak kazali powiedzieć.

WIEŚNIAK TRZECI: Widno, że tu przyjdzie... Ano, to idź z Bogiem i powiedz dziadziowi, że czekamy.

(Jędrus odbiega).

WIEŚNIAK CZWARTY: Cosik ważnego ma napewno, kiedy tak przykazuje...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Trzeba mu i powiedzieć o tym tercjarzu...

WIEŚNIAK CZWARTY: Już on tam wie o nim lepiej, niż my, z pewnością.

WIEŚNIAK DRUGI *(patrzac w boczną kulisę)*: A wiecie, że to będzie i on sam...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Kto? ten tercjarz?

WIEŚNIAK DRUGI: A ino... Utyka na nogę... i zarosły na twarzy... Prokop go tu prowadzi... do nas prosto...

(Nadchodzą: Prokop, siwowłasy starzec, gospodarz — i Adam Chmielowski, w kurtce i wysokich butach).

ADAM: Pokój temu domowi...

WIEŚNIAK CZWARTY: Pokój i wam, witajcie w Imię Boże...

ADAM: Bóg zapłać...

WIEŚNIAK TRZECI: Skądże to Bóg prowadzi?

ADAM: Niech będzie pochwalone Imię Jego... On kieruje krokami moimi... Z Kudryniec ja idę do was, do braci... z dobrym słowem i pociechą...

WIEŚNIAK CZWARTY: Ciężko nam tu, że już i sił rychło nie stanie cierpieć tak dłużej...

PROKOP: Boża wola...

ADAM: Wiem... toż i powiadam: pociechę wam niosę, jeśli zechcecie...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Ktoby ta nie chciał pociechy, kiedy dusza już ino płakać umie... Słyszeli wy, panie, o wszystkim, co się tu dzieje?...

ADAM: Drugi rok już idzie, jak mnie Pan trzyma w tych tu stronach...

PROKOP: Niezem apostoła swojego...

ADAM: Niegodny ja tego nazwania... ot, sługa Jego najniższy, bratem chcę być dla swoich, dla wszystkich...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Gadają ludzie o panu, żeście tercjarz...

ADAM: Widać, że nieprzeciwni mnie, ani temu, co robię dla miłości Pana. Prawda to... tercjarzem jestem, świętego Franciszka brat najmniejszy...

WIEŚNIAK PIERWSZY: To i dobrze my słyszeli...

ADAM: I z was braci dla niego chciałbym zrobić, jeśli tylko wola wasza ku temu.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Prześladować zacząć... jeszcze wygnają precz...

WIEŚNIAK CZWARTY: Alboż to wiedzieć potrzebują... każdy zostanie na swoim miejscu... Habitu też przecie żadnego, nieprawda?

ADAM (*potakując*): Mąż zostaje przy żonie, żona przy mężu, matka dzieci nie porzuca... Na zewnątrz jeno pasek na

podobieństwo Franciszkowego sznura i szkaplerz pod koszulą... wszystko inne w duchu, w życiu, w czynie...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Jak się nam ostać w uświęceniu wśród takiej złości dokoła?!...

WIEŚNIAK DRUGI: Nie raz i nie drugi człowiek by przeklinał, pomsty od Boga prosił na te krzywdy straszne, jakimi nas dręczą... Nie znacie ich, panie.

ADAM: Bracia wy moi! Oni nie wiedzą sami, co czynią... wybaczenie im, jako Bóg przebaczył zabójcom swoim na krzyżu.

WIEŚNIAK DRUGI: Ho, ho... za nimi obstawiacie przeciwko nam?... Sprawiedliwości oddać pan nie chce... może jeszcze i wiara — powiesz, wszystka jedna, polska albo i moskiewska...

PROKOP: Walenty, miarkuj co mówisz... nie wiesz kogo masz przed sobą...

ADAM (*do Drugiego*): Bóg wam zapłać za szczerość... Nie winię ja nikogo, że mi ufać odrazu nie możecie... Cóż bo i mówić wam może moja osoba nieznana... Nie. Ale Bogu niech będą dzięki za wszystko. Na śmierć gotowym dla Jego chwały i dla dusz ludzkich zbawienia... Niechaj o mnie zaświadczą inni, co mnie poznali.

PROKOP: Ja za wami, panie, świadczę, to i wystarczyć musi naszym ludziom (*zwracając się do ludzi*): Wierzycie staremu Prokopowi?

WSZYSCY: Wam wierzymy.

PROKOP: Ot, i róbcie, panie, jako wszędzie indziej... A nie dziwujcie się... w owczej skórze wilki tu między nami chadzają, to człek i własnego cienia nieraz się boi, żeby duszy nie zatracił do cna...

ADAM: A ja właśnie idę do was z takim pancerzem na dusze, żeby im już nie złego zagrażać nie mogło...

WIEŚNIAK CZWARTY: Słyszał ja już o tym Trzecim Zakonie, który to święty Franciszek ustanowił dla wszystkich, ale nie należał ja do niego nigdy. W żołdatkach człowiek prawie pół życia przebył, to mu i wystarczył pas żoł-

nierski, ale szkaplerz... to go ja *(odslania koszulę)* z piersi nie zdejmował nigdy...

ADAM: Daj, niech go ucałują i moje usta... A tobie ja dam swój skarb jedyny *(całuje szkaplerz wiszący na piersi Czwartego, a sam wyjmując z zanadru obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i podaje do całowania wszystkim kolejno)*. I ja byłem żołnierzem... ale... ot, Bóg zabrał jedną nogę, abym odtąd inaczej wojował... bez miecza w ręku i bez krwi wylania... Najmilsi moi, On nas zastąpi we wszystkim, kiedy pora sprawiedliwości nadejdzie... Jenó ufajcie.

WIEŚNIAK TRZECI: No, i jakże będzie z tym tercjarstwem?

WIEŚNIAK CZWARTY: My gotowi...

PROKOP: Naród — jako kania dżdżu, tak on pociechy wygląda... Serca łakną, boć tu i nie często Słowo Boże posłyszają... Możebyście ta, panie, co i rzekli, jeśli łaska.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Ludzi by zwołać...

WIEŚNIAK TRZECI: Niebezpiecznie... znajdzie się jeszcze jaki i zdrajca...

ADAM: Bóg z nim. Nie lękajcie się, bracia.

WIEŚNIAK DRUGI: Nie o nas idzie, jenó żeby wam cosik złego się nie trafiło...

ADAM: Wybawił On mnie już nie raz jeden, ten Ojciec najlepszy... i od śmierci pewnej i od wszystkiego złego.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Jakże to wam trudy ponosić z taką nogą kaleką?

ADAM: A to i powiem wam, jak mi raz figla niedobrego splatała, ale Pan nie pozwolił, abym zginął. Zima to była... straszliwa kurniawa drogi wszystkie zawiąła, że ani w przód ani w tył.

WIEŚNIAK PIERWSZY: Jezusie Nazareński...

ADAM: Tak mnie ona w szczerym polu zaskoczyła, kiedyś z wioski do wioski przejeżdżał na swoim koniku kochanym...

WIEŚNIAK CZWARTY: Jakto, możecie i na konia wsiadać?

ADAM: A mogę... Aleś wtedy zmarł jak ten głąb kapusty zostawiony na polu, żeś chciał zleźć i iść, aby się rozgrzać... Aż tu jak się nie ześlizgnę... i trask, łamie mi się ta moja noga drewniana, że już rady żadnej dla siebie nie widzę.

WIEŚNIAK DRUGI: A koń?

ADAM: A toż właśnie! Potrąciłem go niechcący, padając na ziemię, że się przestraszył — i w nogi...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Boże Miłosierny.

ADAM: A tu nade mną rośnie już mogiła śnieżna i coraz nowe płatki lecą i lecą, że ani oczu otworzyć nie mogę...

PROKOP: Tak Pan próbował...

ADAM: Śmierć już mnie zimna obejmuje, a ja na tej jednej nodze nieszczęsnej ani się wygrzebać z zasy, ani utrzymać na wicherze nie mogę... Wtedy, jak nie zawołałem do mego Boga z całej duszy, z całego serca: Ratuń Panie, bom oto w Twojej sprawie jechał do ludzi, nie opuszczaj mnie! — a tu już leci coś do mnie w kurzawie... Patrzę... to mój konik pocziwy sady przez pola, i... buch! wali się w śnieg niedaleko ode mnie...

WIEŚNIAK PIERWSZY: Och, Ty Boże łaskawy...

ADAM: To tak go Pan ukarał, że mnie tak brzydko zostawił samego wśród zawiei — i poplątał mu nogi lejcami, że się przewrócił.

WIEŚNIAK DRUGI: Toż to cud prawdziwy!

ADAM: Przywlokłem się jakoś do niego, rozplątałem mu nogi, że wstał już sam i jakby tylko czekał, kiedy dalej pojedziemy.

WIEŚNIAK TRZECI: I mogliście się sami na niego wydrapać z tą nogą złamaną?

ADAM: Ano mogłem... wszystko jakoś mogłem, bo to przecież Pan we wszystkim pomaga, kiedy człowiek słaby nie umie, lub nie może...

PROKOP: Zaprawdę, On was i nam tu przysłał, abyśmy nie

upadli pod tymi krzyżami, jakie nam dźwigać każe bez końca...

ADAM: Ulży wam... ulży przez tego Serafina swojego najmilszego... A ja, bracia moi najdrożsi, pełnię tutaj tylko wolę Ojca Świętego, który właśnie przez Trzeci Zakon Franciszkowy chce podnieść serca ludzkie ku górze z nad tego padolu nędzy i cierpienia.

JĘDRUŚ (*wpada*): Dziaduniu, kacap przyszedł i pyta się o ciebie...

PROKOP: A mama gdzie?

JĘDRUŚ: Mama z nim gadają w chałupie, ino ja uciekł przez płot za oborą, żeby wam powiedzieć.

(*Wielkie zaniepokojenie wśród ludzi*).

PROKOP: Dobrześ zrobił, syneczku, ino uważaj, abyś teraz nie wpadł akurat na niego...

JĘDRUŚ: Oblecę dokoluśka, het ta za laskiem, że ani przewacha skąd...

PROKOP: Albo to wiesz od której strony nadszedł?

JĘDRUŚ: A ino... Widział ja czapę moskiewską już z daleka, ale nie wiedział, czy wstąpi, ta i czekał (*wybiega*).

WIEŚNIAK PIERWSZY: Patrzenie, jaki mądrała!

WIEŚNIAK DRUGI: Ale my to i nie czekajmy, bieda z tego być może.

WIEŚNIAK CZWARTY: Lepiej do domu wracać każdemu...

WIEŚNIAK TRZECI: Żle także... bo może widzieć, że się tak śpieszno rozchodzimy...

PROKOP: Poczekajcie, ja pójde wprzód...

ADAM: Wszyscy zostańcie, bracia... ja z wami też...

WIEŚNIAK DRUGI: Ejże, bo może zdrada!... stryka byście nie uszli... jak amen w pacierzu...

ADAM: Bracie, bracie... jakoś Tomasz niewierny, ale cię Pan przekona... nie ja.

PROKOP: Siadajcie, jakby nie... alboż to już i gadać nam z sobą nie wolno? Bóg z nami...

(*Wszyscy siadają z powrotem. Chwila ciszy*).

WIEŚNIAK DRUGI i TRZECI (*spoglądają z niepokojem w stronę, skąd nadbiegł Jędrus*).

ADAM (*jedyny wśród nich skupiony jakby w tajemnej modlitwie*).

(*Po chwili nadchodzi Żandarm rosyjski w mundurze, z rewolwerem za pasem*).

ŻANDARM: Wot i znalazł ja Prokopa... a żonka to nie znała powiedzieć, kuda mąż poszedł... ładno, ładno...

PROKOP: Na co wam Prokop potrzebny?

ŻANDARM: Hm, na co?... a może i na to, żeby zamiast się włóczyć po ludziach, domu pilnował i swojej roboty gospodarskiej...

PROKOP: A cóż wam, panie żandarm, tak zależy na moim gospodarstwie?... Nie zorzę, nie zasieję, to i jadł nie będę. Nie kto inny, tylko ja sam ze swoimi... i tyła.

ŻANDARM: A wsiotaki, ja wam każę: lepiej wy doma siedzcie, ludzi nie podmawiajcie, bo będzie źle...

WIEŚNIAK DRUGI: Nie wołał nas Prokop, samiśmy się tak zeszli przy niedzieli.

WIEŚNIAK TRZECI: Alboż to mamy gdzie pójść, jako inni na świecie całym... sami wiecie najlepiej...

ŻANDARM: Co ja wiem — to wiem, a wam wara do tego! Prykaz, to pryzak, słyszeli?

WIEŚNIAK DRUGI: Ej ta! słyszeli my już dość, że i pogłuchli niemało.

ŻANDARM: Cha, cha, cha, cha... gdyby wy byli na wajnie, toby może i uwierzył ja, że wy pogłuchli, no, po was nie widno tego, byście prochu wachali... Ale jeszcze i możecie... ho, ho...

WIEŚNIAK DRUGI: Nie chce mi się.

ŻANDARM: A to molczat — i kaniec! *(zwracając się do Adama)*: A wy szto tu za jeden, ha?

ADAM: Ze świata... człowiek, jak i wy — pod Bożą opieką...

ŻANDARM: A pasport u was jest?

ADAM: Sami wiecie...

ŻANDARM: Wy mnie odpowiadajcie jak należy, inaczej, to ja z wami...

ADAM *(niespodziewanie schyla się i jakby z pod jego buta, z miejsca, gdzie wyraźnie dla widza nic na ziemi nie było, podnosi krzaczek kwitnących bratków kolorowych)*.

ŻANDARM *(widocznie przerażony, wyjmując nagle z za pasa rewolwer i podnosząc go w stronę Adama, krzyczy)*: Stój! co robisz... Ruki wwierch!

ADAM *(spokojnie podnosi w górę rękę, trzymając w niej kwiaty)*: Co robię, pytasz? Toć widzisz... kwiatki zdeptane na ziemi — podnoszę...

(Szept zdziwienia u wszystkich).

PROKOP: Matko Przenajświętsza!

WIEŚNIAK PIERWSZY: Cud prawdziwy... czy co...

ŻANDARM: Skąd ty wziął ten kwiatek, co?... tu żadnego kwiatka nie było...

ADAM: Skąd?... Posiał go Pan... i rósć mu przykazał na tej ziemi, a tyś go przydeptał i złamał...

ŻANDARM *(żegnając się po trzykroć w strachu zabobonnym)*: Jej Bohu, tu nijakiego kwiatka ja nie widział... *(opanowawszy się)*: Głuposc kwiatek... ale wy wsio rawno, gadajcie co tu robicie?

ADAM: Jużem wam powiedział.

ŻANDARM: Co... o tych kwiatkach? I co z nimi?

ADAM: Umacniam je w ich ziemi rodzonej, aby nie zginęły z zimna czy z posuchy... A co dalej... sami zobaczycie kiedyś...

ŻANDARM: Ja zobaczę... ja?

ADAM: Ty *(wyciągając ku niemu rękę)*: A teraz idź dalej w swoją drogę... tylko, bracie mój biedny... pozostaw kwiaty Boże w spokoju... one, jako i ty mają prawo do życia...

ŻANDARM *(znowu się żegnając)*: Nie ponimaju ja was, niczewo nie ponimaju... ale niech ta, niech ta sobie i rosną.. Boh z nimi... *(odchodzi)*.

(Wszyscy rzucają się ku Adamowi, całują go po rękach, pochylają się do jego kolan, a on, nie zwracając na to uwagi, z głową w górę wzniesioną i oczyma zapatrzonymi daleko, mówi w ekstazie pokornej):

ADAM: Za każde ludu ocalenie cudowne Tobie niechaj będą dzięki, Panie i Ojcie nasz wszechmocny! Miłosiernym okiem wejrzyj na lud Tobie wierny i przybliź godzinę wybawienia naszego z niewoli... O, Królowo nasza, Częstochowska Panno Święta, módl się za nami...

Zasłona spada.

OBRAZ PIĄTY.

U CELU.

OSOBY: Brat Albert (dawny Adam Chmielowski) — Nędzarz Pierwszy — Nędzarz Drugi — Nędzarz Trzeci — Nędzarz Czwarty — Nędzarz Piąty — Inteligent — Niemowa — Nędzarze.

Rzecz dzieje się w r. 1889 w Krakowie, w przytułku noclegowym na Kaźmierzu.

Scena przedstawia ponurą izbę. W tylnej ścianie, w pośrodku, drzwi. W głębi widać parę najprostszych prycz, bliżej nędzne barłogi, węzelki łachmanów, tu i ówdzie skrzynka mizerna.

Po podniesieniu zasłony na scenie Nędzarze: Na jednej z prycz leży Nędzarz Trzeci, inni półleżąc siedzą na swoich legowiskach; ten i ów siedzi na skrzynce.

NĘDZARZ PIERWSZY (*do Drugiego*): Co, nie podoba się wam tutaj? A któż was trzyma? Pójdzie jeden, przyjdzie na jego miejsce dziesięciu, nie ma strachu.

NĘDZARZ DRUGI: Myślicie, żebym nie drapnął? Ino — psiakrew — nie chce się człowiekowi znowu głodem przymierać.

NĘDZARZ PIERWSZY: A tu przecie i żreć coś dadzą, i noc przespać można, choćby i pod cudzą pryczą na ziemi, co?

NĘDZARZ DRUGI: Do diabła z takim pieskiem życiem! Lepiej by już było naprawdę psem się urodzić.

NĘDZARZ PIERWSZY: A możebyście i wtedy trafili do Albertynów, bo oni to i nędznej sobaczki nie odpędzą od siebie.

NĘDZARZ DRUGI: Chciałbym ja widzieć, co tam bracia jadają u siebie, kiedy nikt nie widzi... Nie tacy oni głupi jeść to, co nam dają...

NĘDZARZ PIERWSZY: Widno, że niedługo tu siedzicie, skoroście nie poznali jeszcze albertyńskiego bogactwa. Dogadzają oni sobie, dogadzają, że ino zazdrościć... Możebyście do nich przystali, byłoby wam lepiej...

NĘDZARZ DRUGI: Albom to głupi chodzić w świńskiej sierści i z robactwa drugich oczyszczać... Dosyć miałem swojego.

NĘDZARZ PIERWSZY: Ot i przecie wiecie, jakie to smakowite życie szarych braci... A do tego wielkiego jedzenia to sobie oni na ziemi siadają, aby było wygodniej, tak, tak...

NĘDZARZ DRUGI: Sami chcą, nie ma ich czego obżalowywać.

NĘDZARZ TRZECI (*przysiadając na pryczy*): Oj, nie pożalowałby ty biednego, kiedyby przyszedł prosić zmiłowania... A przecież oni... braciszkanie, przytulili i odziali i nakarmili... A już on, ten sam ich anioł najstarszy, to i ucałował, jako brat brata drogiego...

BRAT ALBERT (*w habicie szarym staje w cicho uchylonych drzwiach w głębi*).

(*Nikt z Nędzarzy nie zauważył jego wejścia*).

NĘDZARZ TRZECI: Już by się był człowiek dawno w ziemi odleżał, gdyby nie Brat Albert...

NĘDZARZ DRUGI: Tak czy siak — jeden koniec czeka. Ani plunąć na takie życie nie warto.

NĘDZARZ PIERWSZY: To pocoście tu przyszli i drugim miejsce zabieracie? Jak nie warto, to nie warto, i już.

BRAT ALBERT (*postępuje kilka kroków naprzód*): Wszystko warto, co jeno z rąk Bożych pochodzi... A cóżeście tak upadli na ducha, co?

NĘDZARZ TRZECI: Bo to jeszcze nie położył brat starszy

rączki świętej na jego sercu, to i słowami, niby kamieniami, ciska na wszystko.

NĘDZARZ DRUGI: Myśli sobie, że on to już najbiedniejszy... Nie w smak mu tu wszystko.

BRAT ALBERT: Nic dziwnego... Nie dla każdego bieda ma smak przyjemny... Trzeba ją pokochać, jako pokochał ją święty Franciszek, wtedy dopiero rozsmakuje się w niej człowiek na ziemi...

NĘDZARZ DRUGI: Łatwo to tak gadać, kiedy się ma z czego żyć i kąt pewny nad głową... Zamieniłby się to brat ze mną, co?

NĘDZARZ PIERWSZY: Ot, głupi, sam nie wie, co plecie.

NĘDZARZ TRZECI: Boże Ty mój, Boże wielki, miłosierny...

BRAT ALBERT: Gdyby mi Pan kazał to uczynić dla twojego dobra, bracie, uczyniłbym. Aliści On mnie tu naznaczył nie dla jednego.

NĘDZARZ TRZECI: Jemu się zdaje, że to wszystko tak... z nieba spada, bez trudu, bez frasunku...

NĘDZARZ PIERWSZY: Bez poniżenia, jakiego się codzień bracia najedzą, żeby nas chlebem nakarmić...

BRAT ALBERT: Boża wola... i nad wami i nad nami jednak... A nie zmieściłby się tu jeszcze jaki między wami, bo to co chwila ktoś do furty puka i o przyjęcie prosi...

NĘDZARZ PIERWSZY: Trudno już straszyć, ale jako ty chcesz, Ojciec... Nauczyłeś ty już nas dzielić się z drugimi tym nawet, czego nie ma.

BRAT ALBERT: Bóg ci zapłaci.

NĘDZARZ TRZECI: Stary a chory — to niechby się tu ze mną na barłogu położył... zmieścimy się może oba.

BRAT ALBERT: Nie zapomnę o twoim sercu (*nieznacznie wychodzi*).

NĘDZARZ DRUGI: Jabym tu zaraz inne porządku zaprowadził.

NĘDZARZ TRZECI: Już ty naszego ojca najlepszego uczył nie będziesz.

NĘDZARZ PIERWSZY: Licho cię tu jakieś sprowadziło, że nic, ino ujadasz jak ten pies, nie przymierzając.

NĘDZARZ CZWARTY: Kaganiec mu na pysk założyć, żeby cicho siedział.

NĘDZARZ PIĄTY: Niech gada. Kto mu broni! Albo to nam tu tak dobrze, czy co?

NĘDZARZ DRUGI: Głupiście, że to wszystko znosicie. Upominać się o to, co się wam należy — i koniec!

NĘDZARZ PIERWSZY: Co się należy?... Nic się nie należy, bo to wszystko ino łaska a miłosierdzie Brata Alberta.

NĘDZARZ DRUGI: To przecie magistrackie jest.

NĘDZARZ PIERWSZY: Kiedy nie wiesz, to i nie gadaj. A chcesz wiedzieć, to ci powiem: było to miejskie, spać tu przychodziła ostatnia nędzota, co to nigdzie przytułku nijakiego nie miała.

NĘDZARZ TRZECI: Jezu Chryste, co się tu działo, co się tu działo! Takie staruchy-niebogi, jako ja teraz, to pod ławami konali, a nikt im ni kropli wody nie podał.

NĘDZARZ PIERWSZY: A za to draby, pijanice wszelakie, opryszki, na ławach w karty grali, pili, machorę kurzyli, że od dymu ciemno było, jak w kominie.

NĘDZARZ TRZECI: A robactwo to ci żywcem człowiecka zjadało, żeś sobie rady nie dał, choćbyś cały dzień tłukł to paskudztwo obrzydliwe.

NĘDZARZ DRUGI: Ale ciepło wam było przynajmniej, skoro tyle luda na kupie się gnieździło...

NĘDZARZ PIERWSZY: Bodajś z swoim ciepłem! Smród, że nos ci ledwie nie odpadł, bo to i chorzy i starzy i dzieci i wyrostki, wszystko, jak te świny w chlewie. A każdy ino by się pod rurę dostać, bo tam najcieplej.

NĘDZARZ CZWARTY: Kobiety też razem siedziały?

NĘDZARZ PIERWSZY: One miały drugą taką norę dla siebie, to się tam katrupiły na czysto, własne dzieci dusiły, a potem do pieca sadzały, żeby śladu nie było...

NĘDZARZ TRZECI: Jezusie Nazareński, zmiłuj się Ty nad ludźmi grzesznymi...

NĘDZARZ CZWARTY: No i co się dalej stało?

NĘDZARZ PIERWSZY: Co dalej?... Ano przyszedł ten nasz święty Brat Albert, wyprosił u magistratu, że to on będzie miał teraz staranie o biednych, no i dali mu.

NĘDZARZ DRUGI: A on co?

NĘDZARZ TRZECI: On... jako ten święty Franciszek około owego kościółka rozwalonego, tak on się sam koło tej naszej nory nieszczęsnej zakrzątał, odrapał, oczyścił, wymalował, okna porządne dał, podłogę, że jak biedaki na jesień wrócili, to i poznać nie mogli.

NĘDZARZ PIERWSZY: Aby ino to! Toć i ogrodzenie sam dał porządne, i bramkę przyzwoitą, i dzwonek na niej, aby wiadomo było kto wchodzi — wszystko.

NĘDZARZ CZWARTY: No, a z jedzeniem to jak?

NĘDZARZ TRZECI: A Boże, to było tak, że jeszcze w Krakowie ludzie tego nie widzieli... Sam on Brat Albert z maleńkim wózekkiem i z konikiem... bo to i konika u kogoś wyżebrał, na targ jedzie, że każdy ogląda się i dziwuje. A on sobie między przekupki na Szczepańskim placu wchodzi, nogą drewnianą kusztuje, a prosi pokornie: Co łaska dla moich biedaków, co łaska... No, i sypią mu tam do wózka pocziwe kobieciny i ziemniaków czubate miary, i kapusty głowy wielgachne, i marchwi i cebuli — wszystkiego, co się wie... A on za wszystko dziękuje: Panie Boże zapłać! a raduje się, kiej jakie dziecko — i wiezie wszystko do domu.

NĘDZARZ PIERWSZY: Ale!... Pierwszy raz to ci z tym wszystkim pojechał przed biskupi pałac i tam prosi, żeby Księżę Biskup pobłogosławił, co on użebrzał dla biednych... Ot, taki ci on, ten nasz ojciec i brat starszy i opiekun najlepszy... A ty co — będziesz jeszcze urągał na Brata Alberta?

NĘDZARZ DRUGI: Bóg go tam wie, dlaczego on to wszystko robi...

NĘDZARZ PIĄTY: Za darmo to już z pewnością nie.

NĘDZARZ TRZECI: Bójże ty się Boga, niedowiarku jeden! A cóż on ma z tego?... Mitręgę ino wieczystą, zgryzotę, poniżenie u ludzi, boć to przecie pan z panów, nie jakiś tam prostak, jako my.

INTELLIGENT (*ubranie na nim pańskie, ale bardzo podniszczone i niechlujne; wygląd zdradza typowego alkoholika, staje w drzwiach i rozgląda się po izbie*).

NĘDZARZ DRUGI: Nie wiem ja tam nic o nim (*spostzegając Inteligenta*): Ale ot, patrzcie, znowu jakiś drań nowy!

NĘDZARZ PIĄTY: Nie przyjąć go, na głowy nam wlezie, czy co?

INTELLIGENT (*idzie ku przodowi sceny, rozcierając ręce*): Zimno siarczyste, do stu diabłów, a tu ani grosza przy duszy na wódkę, żeby się rozgrzać.

NĘDZARZ CZWARTY: Rozgrzał się ta już pan niemało, kiedy ci nos spuchł jak trąba, a czerwony niby piwonია w ogrodzie.

INTELLIGENT: A wam co do tego? Piłem, to piłem. Stać mnie było na to, nie żalowałem ani sobie ani drugim.

NĘDZARZ TRZECI: A co teraz?

INTELLIGENT: Teraz, psiakrew, nie ma z nich żadnego... tacy to przyjaciele! Dopóki Roman miał majątek, to go kochali, a jak majątek diabli wzięli, to go już i znać nie chcą, hultaje! Ale ja wam jeszcze pokażę, niech tylko ciotka testament zrobi.

NĘDZARZ PIĄTY: Ho, ho, to ma pan jeszcze ciotkę bogatą...

INTELLIGENT: Wiadomo, przecie Jastrzębska z domu... Komu by tam miała zapisać, kiedy ja jeden z rodziny całej zostałem... Jeszcze tak źle nie będzie, żebym ja tu u Albertynów na dożywociu siedział.

NĘDZARZ CZWARTY: To po coś pan przyszedł, kiedy tu i tak miejsca nie ma dla najbiedniejszych nędzarzy?

INTELLIGENT: A ja co gorszego, żeby mnie przyjąć nie

mieli? To byle lachmaniarza większa szkoda, niż szlachcica, co?

NĘDZARZ PIERWSZY: Nie daleko już pan zajędzie ze swoim szlachectwem... Trzeba było nie zmarnować majątku...

INTELLIGENT: Moja rzecz. Grunt, żeby kto grosza pożyczył, bo, psiakrew, wytrzymać nie można... Choćby kieliszeczek jeden, zaraz by się człowiekowi inaczej zrobiło.

NĘDZARZ DRUGI: Tra-la-la. A od kogóż by pan myślał pożyczyć, może od którego z nas, albo od Brata Alberta... on tam pewnie kutwi grosze w starej onucy.

INTELLIGENT: Oddam mu, jak Boga kocham, wszystko oddam, nawet i z procentem. Jeszcze bracisko zarobi na mnie dla swoich opuchlaków...

NĘDZARZ PIĄTY: Opuchlaków! Patrzcie na niego, jaki mi wielki pan! Jeszcze ci spuchnie gęba, jak ci plaster przyłożę, poczekaj.

INTELLIGENT: Alboś co innego? Nie puchniesz z głodu, że nie masz jeść za co?

NĘDZARZ PIĄTY: A pan co? Spuchniesz jednak, z wódką czy bez wódki, chociaż ci ciotka majątek zapisze. Głupia by baba była, żeby jeszcze po śmierci takiemu pijaczynie dawała pieniądze.

(W uchylonych drzwiach znów staje niezauważony Brat Albert).

INTELLIGENT: Ty mnie od pijaków nie wymyślaj, tylko lepiej pożycz jakiego grosza, to się obaj napijemy.

NĘDZARZ PIERWSZY: A niechno pan tu pijaństwa nie szerzy, bo tu nie miejsce na to.

NĘDZARZ TRZECI: Już minęły te czasy, kiedy było wolno.

INTELLIGENT: Co ma być nie wolno, każdemu napić się wolno, jak chce.

BRAT ALBERT *(od drzwi)*: Bracie, bracie kochany, ty już oddawna wiesz przecie, że nie wolno...

INTELLIGENT *(który dopiero teraz go spostrzegł, podchodzi)*

do niego): Dobrodziej musi mnie chyba znać... Brzeski jestem z Wielobora...

BRAT ALBERT: Nie pytam o nic, ktoś zacz ni skąd, skoroś raz ten próg przestąpił. Niechaj ci, bracie, służy dopóki potrzebujesz... jeno pamiętaj, że na twoje miejsce czeka dziesięciu może jeszcze biedniejszych od ciebie...

INTELLIGENT: Jak Boga kocham, ustąpię, niech mi tylko najczcigodniejszy Brat zechce udzielić pożyczki, choćby najmniejszej... oddam na czas, jak Boga kocham.

BRAT ALBERT: Nie mam ja nic do pożyczania... nawet kawałka chleba pożyczyć nie mogę... na każdy kęs czekają ci, co go potrzebują...

INTELLIGENT: Ja też tylko malutkiej sumki potrzebuję... na jakie dwa, trzy dni... nie na długo...

BRAT ALBERT: Prawdęś powiedział, bracie mój drogi... nie na długo... A przeto zacznij już myśleć o spłacaniu tego coś winien... aby nie było zapóźno... *(odchodzi nieznacznie)*.

NĘDZARZ TRZECI: O, Matko Boska, módl Ty się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej...

NĘDZARZ DRUGI: Tfu, ciarki mi jakieś przeszły po ciele, jakby nieprzymierzając kostucha z kosą przesunęła się tędy...

NĘDZARZ PIĄTY: No, i cóż będzie? klapa z pożyczki u Albertynów... nie chcą dać niczego, co?

INTELLIGENT: A niech to wszystko diabli wezmą! Żeby takiemu nie wierzyć, że mu odda, mnie, co mogłem jemu i kilkadziesiąt tysięcy pożyczyć, w dodatku bez procentu! Obejdzie się, jeszcze się znajdzie taki, co Brzeskiemu kieliszek wódki zafunduje... *(wybiega)*.

NĘDZARZ CZWARTY: Urznie się tam pewnie na śmierć, kiedy taki rozżalony wyleciał.

NĘDZARZ DRUGI: I będzie miał brat starszy na sumieniu, że mu grosza pożalował.

NĘDZARZ PIERWSZY: Już on wie dobrze, co robi... A ta-

kiemu to jeszcze śmierć najlepsza, bo bez pijaństwa żyć już nie potrafi.

NĘDZARZ CZWARTY: A mnie go przecie żal. Widno odrazu, że to pan, nie żaden prostak, jak my.

NĘDZARZ PIERWSZY: I patrzajcie, że i taki zmarnować się może jak każdy prosty człowiek.

NĘDZARZ PIĄTY: Tyle mu z tego państwa przyszło, co nam z naszej biedy.

NĘDZARZ TRZECI: A przecie pan panu nie równy... jeden na takiego zejdzie, a drugi na anioła dla biednych, jako nasz Brat Albert.

NĘDZARZ DRUGI: Czy to ino prawda, bo mnie się nijak wierzyć nie chce, żeby on z panów był.

NĘDZARZ TRZECI: Niedowiarek ty już z rodu samego, jak widać... Ale prawda to wszystko, co mówię. On — kochaneśki... uczony i wielkim malarzem był i inżynierem, panem... A przecie spokoju nie zaznał, dopóki nie wdział na siebie tego włosia szarego i sznurem konopnym się nie przepasał... Gdzie ino był, co robił, to mu wszędzie źle i źle, bo nie rozumiał, czego Pan Bóg chce od niego... Aż nakoniec rzucił wszystko, i dawne imię i nazwisko, i towarzyszy, świat cały — i poszedł biednym służyć jako ich brat.

NĘDZARZ PIERWSZY: To tak ci kiedyś i święty Franciszek zrobił, jak on...

NĘDZARZ TRZECI: W niego to się wdał właśnie nasz Brat Albert. Ot i nie potrzebują już Polacy zazdrościć Włochom ich świętego.

NĘDZARZ DRUGI: No, no, nie tak całkiem znowu. Daleko mu jeszcze do świętości!

NĘDZARZ TRZECI: Co ty tam wiesz, bracie miły... Gdyby ty wiedział to co ja wiem, tobyś ty innymi oczyma na niego patrzył, a proch byś mu z pod drewniaków odmuchiwał, a nóżkę bosą całował... Ale co wam gadać o tym wszystkim, kiedy i tak nie uwierzycie.

NĘDZARZ DRUGI: Albo to tak łatwo wierzyć, jak się nie widzi?

NĘDZARZ PIERWSZY: A toć go oglądasz i słyszysz jak gada, jak się z biedakami obchodzi, czego chcesz więcej?

NĘDZARZ PIĄTY: Ja ino ciekaw, co będzie z tym pani-skim, co tu był, czy on naprawdę nogi zadrze tak prędko, jak mu Brat powiedział.

NĘDZARZ DRUGI: Jak się to stanie, to uwierzę.

NĘDZARZ PIĄTY: I ja także.

NĘDZARZ TRZECI: Boże Ty mój, Boże... A tam pewnie Brat Albert, chociaż i wie jak będzie, to się na kolanach łzami zalewa za grzesznikiem nieszczęśliwym do Pana...

NĘDZARZ DRUGI: Jeżeli taki święty z niego, to czemu go nie ocalił odrazu?

NĘDZARZ TRZECI: Czemu?... Panu Bogu to tylko wiadomo, dlaczego jednym tak, a drugim inaczej daje.

NĘDZARZ PIERWSZY: Ja się tu już ze wszystkim godzić nauczył i przestał mędrkować oddawna.

NIEMOWA (*odbijający od obecnych na scenie najstraszniejszą nędzę, w strzępach łachmanów, obrośnięty, brudny, głowa w kołtunie, bosi, ciągle się czuchra z powodu gryzącego go robactwa, wchodzi wprost na środek sceny*).

NĘDZARZ PIĄTY: A ten wszawiec czego tu przyszedł?

NĘDZARZ DRUGI: Wynoś się stąd, bo na nas wszystko wytrzęsiesz z tych swoich łachmanów śmierdzących!

NIEMOWA (*zachowuje się jednako*).

NĘDZARZ CZWARTY: Idź tam... Bratu się najprzód pokazać, nie tu do czystego z wszami odrazu.

NĘDZARZ DRUGI: Faj, śmierdzi jak zaraza! Do cholery ciężkiej, wszystko zapaskudzi!

NĘDZARZ PIERWSZY: Bratu Albertowi by powiedzieć, to go zabierze stąd... pójdę poszukać.

NĘDZARZ TRZECI: Pewnie tam kąpie jakiego biedaka, to i nie wie o niczym... ale idźcie.

NĘDZARZ PIERWSZY (*daje Niemowie znaki, aby szedł za nim, lecz widząc, że to daremnie, sam wychodzi*).

NIEMOWA (*mrucząc niezrozumiale, rozgląda się gdzieby znaleźć miejsce*).

NĘDZARZ DRUGI: Ty! bo cię zdieję przez ten łeb kudłaty. Wynoś się stąd, tu nie dla ciebie miejsce.

NĘDZARZ CZWARTY: Idźcie się najpierw wymyć i te lachy z siebie postrzącać.

NĘDZARZ PIĄTY: Głupi to jakiś, widno, nie rozumie, co się do niego gada.

NĘDZARZ TRZECI: Ot, stworzenie Boskie jako i my... Brata by tu tylko trzeba do niego.

NĘDZARZ CZWARTY: A skądżeście tu przyszli, hę?

NIEMOWA (*zachowuje się jak wyżej*).

NĘDZARZ DRUGI: Aha, dogadacie się z nim, a jakże.

NĘDZARZ CZWARTY: Rozum mu się pomieszał do czysta.

NĘDZARZ DRUGI: Kija by zrozumiał odrazu, bo by go zabolalo.

NĘDZARZ TRZECI: A toż litość trzeba mieć dla biednego.

NĘDZARZ DRUGI: Ależ śmierzdi do licha, że wytrzymać nie sposób.

NĘDZARZ CZWARTY: Gdzie się też ten Brat zapodział, że go znaleźć nie może.

NĘDZARZ PIĄTY: Do miasta chyba poszedł, bo by go już znalazł gdzieś.

NĘDZARZ CZWARTY: I co tu począć z nim, do biedy ciężkiej!

NĘDZARZ DRUGI: Ja mu tu zaraz dam rady (*bierze kij z kąta i zbliża się do Niemowy*). No! rusz się, ty niemraku jeden. Psiakrew, czudo jakieś zakazane, ani z nim tak ani siak.

NĘDZARZ PIĄTY: A pomacaj go tam z lekka kijaszkiem, może co i pomoże.

NĘDZARZ DRUGI (*podnosząc kij do uderzenia*): Bo cię spiorę naprawdę, już i cierpliwości brak.

BRAT ALBERT (*staje w drzwiach*): Schowaj, bracie, kij na miejsce, aby go jeszcze kto na twoich kościach nie zechciał połamać... A czegoż to chcecie od niego?

NĘDZARZ DRUGI: Dopuszczać go ino nie chcemy, bo robactwo z siebie strząsa dokoła.

NĘDZARZ CZWARTY: Zapaskudzi wszystko na nowo...

NĘDZARZ PIĄTY: Głupi to jakiś, nic nie rozumie, co się gada do niego.

BRAT ALBERT: A wiecie wy, bracia, czemu Bóg mu rozum odebrał?

NĘDZARZ TRZECI (*szeptem*): Jezu mój, Jezu, Jezu...

BRAT ALBERT: Aby was miłosierdzia nauczyć, którego nie znacie... (*zwracając się do Niemowy, ściska mu dłońmi głowę i składa na czole pocatunek, poczem obejmuje go ramieniem i odprowadza łagodnie ze sceny za drzwi*).

NĘDZARZ TRZECI (*w szlochu*): O, ty służebniku Boży... o ty nasz aniele na ziemi... o ty nasz bracie... ojciec kochany...

(*Chwila milczenia*).

NĘDZARZ CZWARTY: Jak on ta mógł pocałować go w taki łeb kostrubaty? br... (*spluwa*).

NĘDZARZ PIĄTY: Jeszcze mnie trzęsie od chwili, jakem to zobaczył... Pfuj, ależ to mu się cała głowa ruszała od tego robactwa...

NĘDZARZ CZWARTY (*do Drugiego*): A wy co teraz na to?

NĘDZARZ DRUGI: Dajcie mi spokój. Trzeba było samemu iść z kijem na niego, nie mnie posyłać.

NĘDZARZ PIĄTY: Nic się wam przecie nie stało, czego sobie tak krzywdzicie strasznie?

NĘDZARZ DRUGI: Coby mi się tam miało stać, ale po co mi to wszystko.

NĘDZARZ CZWARTY. Że tam Brat starszy coś powiedział, to i co, nie wam złego nie zrobił.

NĘDZARZ TRZECI: On by co złego komu zrobił, Jezu Miłosierny! żeby chciał, toby nie potrafił.

NĘDZARZ PIERWSZY (*wbiega*).

NĘDZARZ CZWARTY: A toście się prędko wrócili, w sam czas...

NĘDZARZ PIERWSZY: No, nie mógł ja nigdzie znaleźć Brata starszego, ażem na ulicę wyleciał... A tam narodu przed samym szynkiem, że ani przecisnąć się nie można... Patrę i ja co się stało — i wiecie co...

NĘDZARZ PIĄTY: No, cóż takiego?

NĘDZARZ PIERWSZY: Na schodkach leży ci to panisko nieszczęśliwe, co tu był u nas dopiero, a z głowy mu krew ciurkiem cieknie, że ani oczu nie widać...

NĘDZARZ TRZECI (*szeptem*): Zmiłuj się nad nami grzesznymi...

NĘDZARZ CZWARTY: Cóż się stało tak prędko?

NĘDZARZ PIERWSZY: A podobno pijaczysko jakieś, do którego się przysiadł, tak ci go w samą skroń zdzielił butelką, że się rozleciała na pryski.

NĘDZARZ DRUGI: No, a on?

NĘDZARZ PIERWSZY: Zdaje się, że już po nim, bo się wali jak drewno. Pogotowie go zabrało, ale co mu już tam pomoże... Koniec z pewnością wszystkiemu.

NĘDZARZ PIĄTY: Ot, i przepowiedział mu Brat starszy dokumentnie... Już i nie wierzyć nie można.

NĘDZARZ DRUGI: Czemu to nie piszą o nim w gazetach?... Przecież by się naród poprawił, gdyby wiedział, jakie rzeczy się dzieją...

NĘDZARZ PIERWSZY: Już to o naszym Bracie Albercie w całym Krakowie wiadomo, ino co — ludzie by chcieli, żeby on im na poczekaniu cuda robił, a inaczej to nie wierzą.

NĘDZARZ DRUGI: Już ja teraz wierzę... Ale żeby takim być, jak on — trudno to... strasznie trudno.

NĘDZARZ PIĄTY: Skąd, powiedzcie, tyle miłowania w sercu naleźć, co?

NĘDZARZ DRUGI: Dla swoich go mało, a tu jeszcze i dla obcych, hej...

NĘDZARZ CZWARTY: I za brata każdego miej, i samemu dla wszystkich bratem bądź... Nie łatwo to, nie łatwo...

NĘDZARZ TRZECI: A jemu najlepszemu to już wszystko łatwo... Jako ten anioł chodzi sobie po ziemi i zbiera, zbiera biedotę nieszczęśliwą, i prosto do Pana Jezusa kieruje... Jeszcze ci go kiedyś na ołtarze podniosą, że się ludzie modlić będą jako do świętego... Ujrzenie...

(Światło na scenie przygasa, a w głębi w drzwiach otwartych, silnie oświetlonych, jawi się żywy obraz: Brat Albert w habicie osłaniający peleryną dwu nędzarzy po bokach — dorosłego i nieletniego).

KONIEC.



37016

Pisałam w Krakowie r. 1933.